

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

7

— Tak jest. Delrue ma ładne znajomości! Powierzył ją apaszom, ale ten dryblas z Afryki zjawił się w nieporę z obroną i oto dlatego panna Janina jest chora i nie chce już biegać wieczorami sama.

— Ale skąd to przypuszczenie?

— Przyszło mi nad szklaneczką absyntu, czytając ten dziennik — odparł z dumą lichwiarz, podsuwając żonie pod oczy drukowany świstek.

— Panie Collin-Megret, zdumiewasz mnie! Nie posadzałam cię nigdy o tyle trzeźwości umysłu.

— Robi się, co może — odpowiedział skromnie lichwiarz.

— Trzymamy wygraną w ręku. Delrue należy do nas. Wczoraj zapamiętałam sobie numer jego dorożki. Może kręcił się w tych stronach. Trzeba pomówić z dorożkarzem. Ale gdzie go szukać!

— O tej porze znajdziemy go w Bastylli, gdzie przepręga konie.

— Jedźmy tam.

W głównej remizie nie zastali jednak szukanego dorożkarza, ale kolega jego obiecał pani Collin-Megret przysłać go do niej, jak tylko nadjedzie i przepręże.

Poszli więc do restauracji pobliskiej i tam zaczęli, pocieszając się drugim śniadaniem, któremu towarzyszyła butelka dobrego wina. Nie osuszyli jej jeszcze do dna, kiedy chłopak posługujący oznajmił im, że dorożkarz już zajechał.

— Przejedziemy się trochę w stronę Montmartre — rzekł do niego dobrodusznie pan Collin-Megret — Oh! zdaje mi się, że jesteśmy starzy znajomi!

— Przepraszam was, obywatelu, ale ja tylu ludzi wożę...

— Ulica św. Łazarza! „Przewodnik światowy“!

— Aha! Tak, tak, wiem już. Woziłem nawet wczoraj do pana jakiegoś młodego pasażera! Przyjaciół może!

— Tak i nie! Możecie mówić! Oh! Nanudził mnie dosyć! A gdzie się wieść kazał? Do Chateau d'Eau, prawda?

— Tak, ale potem! Mnie się zdaje, że on musi być z policji!

— Może! Ale zgubił przy tej wycieczce laskę ze złotą gałką! Przyszedł potem do mnie, myśląc, że ją zostawił w moim biurze i prosił mnie, abym w tym celu przeszedł wszystkie to miejsca, gdzieście go wozili, bo musiał wyjechać na parę dni.

— Nie dziwię się, że zgubił laskę w takich norach zbójceckich! Ho! ho! hotel Ambasadorów! Ładny wynalazek! Musiał pan czytać poranne dzienniki. Ten pański znajomy wmieszał się tam w porządną awanturę. Jeżeli pan tam zmierza ze swoją panią, to nie radzę! Laska się nie odnajdzie, a można narobić sobie jakiej nieprzyjemności.

— Masz słuszność, mój przyjacielu — przyznał pan Collin-Megret — Nie pojedziemy już tam, zwróćcie się przez Montmartre do bulwaru Clichy.

— Więcej nam nie potrzeba wiedzieć — szepnął do pani Wiktoryi — Już wiemy, po co tu jeździł Delrue.

Przejażdżka trwała dość długo, gdyż pan Collin-Megret po drodze załatwiał rozmaite finansowe interesy. Tymczasem zaś pani Wiktorya oczekiwała go w dorożce, skracając sobie czas pogawędką z uprzejmym dorożkarzem.

Nagle na jednej z ulic powstał popłoch i zamieszanie, młoda dziewczyna, biała i wyczerpana, upadła prawie pod same koła powozu. Pani Collin-Megret krzyknęła z przerażenia, pochyliła się nad leżącą i zawołała natychmiast z wybuchem szalonej radości, zwracając się do męża i kilku osób nadbiegłych z pomocą:

— Co za szczęście! Mój Boże! Co za szczęście! Ależ to moje biedne, zaginione dziecko! Mężu, czy widzisz! Nasza córka! Nasza droga córka, którą mieliśmy już za straconą! Pomóż mi ją wnieść do powozu. Biedactwo, zemdląca z wycieńczenia!

Ktoś z publiczności, wzruszony troskliwością matki, uniósł na rękach zemdloną dziewczynę i umieścił w powozie.

— To jej córka! To córka tej biednej kobiety — szeptało wokoło ze współczuciem — Co za traf szczęśliwy! Upadła przy powozie matki!

Pan Collin-Megret nie mógł wyjść ze zdziwienia, nie mogąc sobie wytłumaczyć zachowania żony.

Przecież ta dziewczyna, leżąca na ławeczce powozu, nie była „tamtą“, którą nadal zaopiekować się mieli. Tamta była blondynka, a ta ma ciemne oczy i całkiem do niej niepodobna, choć może nawet piękniejsza.

Próbował coś oponować, ale groźne wejrzenie pani Wiktoryi wstrzymało jego słowa.

Wśród życzliwych wykrzykników i uśmiechów powóz ruszył dalej.

— Co zamierzasz zrobić z tą dziewczyną? — zdobył się wkońcu na pytanie pan Collin-Megret — Cóż za szaleństwo cię podleciało! Pomyliłaś się chyba!

— Wcale nie. Wiem, co robię. Ta dziewczyna szła przez ulicę jak nieprzytomna. Musi być bezdomna, zaopiekuję się nią. Przypatrz się tylko tej buzi, czy nie warta opieki?

— Ty chcesz uczynić dobry uczynek! Żartujesz chyba!

— Nie rozumiesz mnie, stary głupcze — szepnęła pani Wiktorya do ucha swojego współnika — Potrzebuję coś nowego do pracowni. A ta z tamtą będą stanowić ładną parę. Szczęśliwy traf posłużył mi.

Nieszczęśliwą dziewczyną, podjętą na ulicy przez panią Collin-Megret, była Luiza, córka pułkownika le Rieux.

W sieci.

Pani Collin-Megret została dobrze poinformowaną. Janina le Brenn, wzruszona i zaniepokojona wypadkiem owej niezapomnianej nocy, lękała się teraz nawet w dzień biały wyjść na ulicę miasta.

Na razie nie mogła sobie zdać sprawy z tego, co się stało! Wysłała wieczorem, jak codziennie z pracowni przy ulicy Temple, przeszła przez plac Republiki, kierując się w stronę kanału św. Marcina i nagle, kiedy przechodziła koło muru, okrążającego koszar, uczuła, że ją ktoś silnie pochwylił w górę i zarzucił chustkę na głowę. Usiłowała bronić się, wołać, błagać, ale napróżno, ręka jakaś brutalna przycisnęła jej usta, tamując oddech. Gdy odzyskała przytomność, Delrue klęczał nad nią, jej wybawca, ten Delrue, do którego nigdy nie czuła sympatii i instyktownie unikała w pałacu markizy de Kermor. Myliła się widocznie co do niego. Delrue okazał się dla niej dobrym, pełnym najlepszych zamiarów i chęci.

Nie wspominała dotąd nikomu o nieszczęsnej przygodzie nocnej. Chciała się ukryć przed wszystkimi, obawiając się, aby nazwisko jej nie zostało odkryte przez policję i nie przedostało się do dzienników.

Dnia tego Janka czuła się cokolwiek silniejszą. Otworzyła okno swojego pokoiku, aby odetchnąć świeżym powietrzem i przyszła jej ochota przejść się trochę po dzielnicy w poszukiwaniu za pracą, której tak potrzebowała.

Pierwszą jej myślą było udać się do dawnej pracowni, ale odrzuciła ją szybko. Będzie musiała się tam tłumaczyć, dlaczego nie przychodziła przez te dni parę, odpowiadać na pytania, na któreby nie mogła dać odpowiedzi, a Janka tak obawiała się teraz zetknięcia z ludzką ciekawością.

Skierowała się więc wręcz w przeciwną stronę, odczytując skwapliwie wszystkie kartki z ogłoszeniami, przybite do ścian domów.

Janka już zanotowała sobie w książeczce parę adresów, gdy uwagę jej zwróciła gruba jakaś pani, przylepiająca starannie do muru dość duże plakaciki, zapisany dużym, wyraźnym pismem: „Poszukuje się natychmiast młodej dziewczyny, umiejącej dobrze szyć i haftować, z całodziennym utrzymaniem i dopłatą dwudziestu franków tygodniowo“.

Janka uśmiechnęła się radośnie, był to nieprzewidziany, łaskawy błysk szczęścia. Przewyciężyła wrodzoną nieśmiałość i podeszła do owej pani.

— Proszę panią — wymówiła z trudem — proszę mi wybaczyć... pragnę zapytać...

— O co, moje dziecko? — odrzekła nieznajoma, odwracając się z dobroliwym uśmiechem na ustach.

— Bo właśnie przeczytałam ogłoszenie pani... i myślę... mam nadzieję...

— Znasz może, moje dziecko, kogoś, któryby się podjął tej pracy?

— Ja właśnie, proszę pani... Umieję dobrze szyć i haftować...

— Ale, moje dziecko, nam potrzeba zręcznej, rutynowanej pracownicy, a nie wiem, czy...

— Pracowałam już wiele w tym zakresie. Jestem Bretonka, u nas wszystkie dziewczęta haftują...

— A to co innego! Bretania, kraina hafciarek, ślicznych chusteczek, fartuszków! Ale my w Paryżu również potrzebujemy haftów innego rodzaju... wytworniejszych, modnych!

— Potrafię to wszystko, proszę pani! Pracowałam już w Paryżu!

— Taka młodziutka! Szesnaście lat najwyżej!

— Więcej, proszę pani, ośmnaście! Pracuję już od lat paru, od śmierci mojej matki.

— Ah! Więc jesteś zupełnie sama, kochanko!

— Tak! Nie posiadam żadnej bliższej rodziny.

— Biedna sierota! Sama, w tem wielkim mieście, pełnem niebezpieczeństw i pokus!

— Dlatego też szukam pracy, proszę pani!

— Moje dziecko, podobasz mi się coraz więcej! Zgadza się na twoje propozycje. Mam nadzieję, że pogodzimy się z sobą!

— Oh! pani! Jakże ci mam dziękować! — zawołała Janka z wdzięcznością. — Czynić będę wszystko, aby pozyskać twoje uznanie!

— Nie rozczulajmy się, moja kochanko! — odparła gruba pani, zdzierając nalepioną kartkę. — Chodźmy do domu, gdzie czeka na nas pilna robota. Jak się nazywasz, moje dziecko?

— Janina le...

— Janina wystarczy! A więc, Janko, czy mieszkasz stąd daleko?

— Tuż zaraz, przy zakręcie kanału.

— Bardzo dobrze! Pójdę więc z tobą i pomogę ci spakować twoje rzeczy. Tak będzie prędzej, nieprawdaż?

— Oh! jaka pani dobra!

W pół godziny później, zacna gruba pani, pani Collin-Megret, uwoziła Janina le Brenn do swojego mieszkania przy ulicy św. Łazarza. Dzień ten nie mógł być uważany przez panią Wiktoryę za stracony!

Od samego rana śledziła Jankę. Gdy ujrzała ją, wychodzącą z mieszkania i idącą w kierunku ulicy Temple, do dawnej pracowni, wściekłość ją ogarnęła. Lękała się, że zdobycz wymknie jej się z ręki. Lecz gdy z radością ujrzała, że młoda dziewczyna skierowała się w inną dzielnicę, poszła za nią i w chwili stosownej, tuż przed jej oczami rozlepiła nęcące ogłoszenie, wiedziała bowiem, że szuka pracy i skorzysta z tak dobrej sposobności.

Pani Wiktorya promieniała radością, uwożąc teraz Janinę le Brenn do siebie.

Luiza Rieux już drugi dzień bawiła u pani Collin-Megret.

Gdy wróciła do przytomności, dzięki energicznemu zabiegom i staraniom, ze zdziwieniem powiodła spojrzeniem po pokoju, w którym się znajdowała.

— Uspokój się, moja gołąbko! — wyrzekła pieszczotliwie pani Wiktorya, zbliżając się do łóżka z filiżanką gorącego bulionu. — Wypij to i pogadajmy trochę. Nie potrzebujesz się obawiać. Znajdujesz się pod dobrą opieką.

— Czuję się już lepiej — wyszeptała Luiza niespokojna. — Będę mogła już zaraz wstać i pójść.

— Ale gdzie, moja mała? No, no! Nie myśl teraz o tem! Prawda? Spotkało cię jakieś nieszczęście! Nieporozumienie rodzinne może? Widzę, że należysz do lepszego świata, rączki niespracowane. Pewnie panienska chciała się pokierować własnym rozumkiem i przeliczyła się! Zdarza się to, zdarza! Jak się nazywasz, moje dziecko?

— Luiza!

— Luiza... i to wszystko?

Młoda dziewczyna milczała.

— No, skoro nie masz do mnie zaufania, to nie nalegam. Pozwól, że ci powiem kilka słów. Jestem panią Wiktoryą, właścicielką pracowni. Znalazłam cię na ulicy, zemdloną, samą... wzięłam do dorożki i przywiozłam do swojego domu. A wiesz, dlaczego to uczyniłam?

Luiza Rieux zdawała się nie rozumieć słów swojej wybawicielki. Błędem, szklanym spojrzeniem patrzyła przed siebie, nie zdając sobie sprawy, co się z nią dzieje.

— Uczyniłam to dlatego — ciągnęła dalej pani Wiktorya, nie zwracając uwagi na uporczywe milczenie młodej dziewczyny — że miałam ukochaną córkę w twoim wieku, którą mi pan Bóg zabrał! Łudząco była do ciebie podobna, te same oczy... te same włosy...

Nagły krzyk Luizy przerwał czułe wspomnienia pani Wiktoryi.

W gwałtownym paroksyzmie gorączki, wyciągając ręce przed siebie, jak gdyby dla obrony, wołała rozpaczliwym głosem:

— Puśćcie mnie stąd! Puśćcie! Ja się boję! Nie chcę! nie chcę! Ja muszę stąd iść!

Wyskoczyła z łóżka i biegła ku drzwiom. Ale pani Wiktorya już ją trzymała w ramionach i uspakajała słodkimi słowami i pieszczotami, zmuszając do powrócenia do łóżka.

— Atak nerwowy. — szepnęła — Poczekaj, malutka! Już ja cię potrafię uspokoić! To nie nowość dla mnie!

Przyrządziła jakieś lekarstwo i siłą prawie zmusiła Luizę do wypicia.